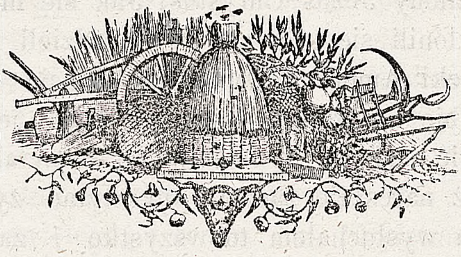
Tom XI. Nr. 3.
21. lipca 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Elżbieta, królowa polska, matka królów, biskupów i świętych.

Gromada Szymanówka, co to należy do pana Jackowskiego, ma dobrych i pobożnych kmieci co do jednego, a mają ci kmieci taki rozum dobry, że sobie fundowali szkołę na dwie izby wielkie i wyuczył tam się niejeden chłopak i dziewka czytać, pisać, rachować, a wypytluje ci z pamięci każdego króla polskiego, jak nieprzymierzając młynarz zboże na dobrą mąkę. Osobliwie gazda Antoni Szmyd ma 6 dzieci, które są wszystkie wyuczone na xiążkach, ale dwa jego chłopaki: Szymuś i Sobuś to przeszli rozumem samego pisarza gromadzkiego, a nawet pana organistę starego.

Ja też ciekawy na takie szkoły, pojechałem sobie tam na examin tego roku i patrzę, a tu dzieci jak liścia na drzewie w obu izbach, a wszystko ogarnione, umyte, uczesane; kaftaniki białe i pasy na wierzchu, szpinki u koszul pod szyją, jak gwiazdeczki świecące, a nakrywki na głowie to albo kapeluszyki albo białe czapki, a nawet i rogate, takie jak mają

furmani dworscy nieraz od święta z pawiemi piórami. Wszedłem do szkoły i mówię:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Jak się macie dzieci?

A oni pokłonili się głowami i powiedzieli razem:

— Na wieki Amen! Witamy Jegomości!

Siadam sobie na stołku, co mi go podał jeden szkolarz i słucham uważnie, jak oni to rachowali, to czytali, to katechizm odpowiadali, aż nareszcie zaczęli oni czytać żywot św. Kazimierza — a ja wysłuchałem to wszystko i zapytałem jednej dziewczyny:

— A jakto nazywała się matka tego św. Kazimierza?

A ona zaraz mi odpowiada tak:

— Matka św. Kazimierza zwała się Elżbieta królowa.

A ja pytam znowu dalej:

— A co to za jedna była ta Elżbieta i zkąd ona?

Ona mi gada:

— Ta Elżbieta pochodziła z niemieckiego kraju a była żoną Kazimierza Jagiellonczyka, króla polskiego w Krakowie.

— A jak się nazywali jej rodzice? — spytałem dalej.

Szkolarze mi na to nic nie odpowiedzieli, toż ja im opowiadał tak:

— Ojcem tej Elżbiety był cesarz niemiecki Albrecht i siedział sobie w Wiedniu, a matka znowu była Elżbieta także Niemka i miała ojca króla czeskiego. Ten ojciec jej cesarz Albrecht II był dobrym cesarzem u Niemców, tak samo i matka jej była pobożną, toż tacy rodzice pobożni mogli wychować i dobre dzieci. Ale nie raz jeden i nie drugi zabiera Bóg dzieciom rodziców zawczasu, a dzieci wtedy zostają sierotkami i idą pod opiekunów. Toż umarł i cesarz Albrecht II tak wcześnie, że biedna Elżbieta miała wtedy dopiero 3 roczki i została sierotką z matką swoją w Wiedniu. A sierocie to zazwyczaj źle się dzieje na świecie. To też i Elżbieta, choć była córką cesarza nieraz w swem sieroctwie zaznała gorzkiej niedoli. Ale za łaską bożą wszystko złe minie, a osobliwie dla tego, kto żyje w zgodzie z Bogiem i cnotą.

Kiedy Elżbieta wyrosła na pobożną, miłosierną i dobrą pannę, wtedy zaczął się do niej zalecać polski królewic Ka-

zimierz Jagiellonczyk, co miał wtedy jak uciął 27 roczków, a Elżbieta miała 15 roczków i wyglądała jak piękna lilja, jak pachnąca róża, a wszyscy znali jej pobożność i dobroć.

A ciekawy Szymuś na to mi powiada:

— To się ożenił z nią wtedy ten Kazimierz?

— A jużci się ożenił, mówię mu na to, i Bóg dopomógł naszemu polskiemu królewiczowi po wielkich korowodach wziąć ślub z tą pobożną Elżbietą, a dał mu ślub aż jeden święty z kraju Ojca swiętego, i to św. Jan Kapistran, a znowu byli na tym ślubie prawie wszyscy biskupi polscy i sam Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, co to był pierwszym po Ojcu świętym i wolno mu było ubierać się tak, jak Ojcu świętemu i nawet w kościele nosił na głowie święcony kapelusz i taki płaszczyk, co się zwie paliusz, a jego nazywali Polacy kardynałem. A jaka to była uciecha w całej Polsce i Krakowie, to ani gadać o tem! Wesele całe ciągnęło się aż 2 tygodnie a gości było z różnych stron, jak napchał w Krakowie. To też tak to uradowało tę Elżbietę, że mówiła:

— Tu w całej Polsce, to tak jak w raju jakim!

Było to 1454. A teraz powie mi dalej Sobuś Szmyd, które to były dzieci jej w Krakowie?

Sobuś podumał sobie i powiada głośno:

— Jej synowie byli tacy: Władysław król węgierski i czeski, Kazimierz św., Jan Olbracht, Alexander i Zygmunt co byli królami w Krakowie jeden po drugim, a ostatni Fryderyk został xiędzem, potem arcybiskupem i kardynałem polskim. Było ich 6 razem, a wszyscy byli albo królami dobrymi, albo świętymi, albo biskupami.

A ja mu na to:

— Dobrześ trafił mój Sobusiu! a ja ci powiadam, że prócz tych 6 chłopaków było drugie tyle dziewek — to też jak to zasiadło wszystko do jedzenia przy jednym stole i matka razem, to opisują xiążki tak, że to wyglądało tak samo, jak pańska wieczerza gdzie było 12 uczniów a trzynasty był Pan Jezus.

A Sobuś poderwał sam i gada:

— A któżto wyżywił i wyuczył aż 12 dzieci?

A ja mu gadam:

— To wszystko wykarmiła wyżywiła i ta sama Elżbieta. Wszystkie jej dzieci chowały się pod jej okiem w jej dworze w Krakowie, aż do 10 roku — ona uczyła sama żegnać się, mówić paciorek, klękać do paciorka, legać i wstawać rano — każde musiało się samo umyć, ogarnąć, oczesać i ubrać, a potem szło do roboty albo do zabawki, jak matka kazała. A wszystko to słuchało matki, i żyło to cicho, w zgodzie pobożności i miłości, a matka dawała przykład z siebie. I opisują nam stare xiążki tak o niej.

Była ta Elżbieta świątobliwą, pościła, nosiła na sobie okrywkę czarną, jak jaka zakonnica, należała do bractwa Bożego ciała i św. Franciszka i najświętszej Panny w Krakowie, nosiła za pasem dużą koronkę; była ona nazbyt miłosierną, fundowała do 30 klasztorów i drugie tyle szpitalów dla kalek, wdów i sierot, a w Krakowie stoi do dziś na zamku w kościele kaplica św. Krzyża przez nią fundowana, a u św. Michała w kościele jest fundusz do dziś na biednych zakonników od niej, a po kościołach są drogie ornaty i kapy, które ona sprawiła, toż dzieci jej nauczyły się od niej bojaźni bożej, miłosierdzia, pobożności i były od ludzi za życia nazywane dla tego „Aniołkami“ a matka ich tak jak święta. — To opisują stare xiążki!

Sobuś słuchał tego uważnie i spytał:

— A gdzieto oni chodzili do szkoły?

— Widzisz Sobusiu! mówię mu, że wtedy była największa szkoła w samym Krakowie, gdzie oni wszyscy z matką siedzieli — chodzili też ci królewicze i do szkoły razem z innymi szkolarzami, ale oprócz tego trzymała im matka w domu profesorów aż dwa naraz — jeden był pobożny xiądz kanonik Długosz a drugi był aż z ziemi Ojca świętego taki pan mądry i zwał się dziwnie, pono Kalimach, i ci to uczyli królewiczów wszystkiego w domu. Ale nie trza było szukać wtedy po świecie całym takich mądrych profesorów, bo byli w samym Krakowie jeszcze lepsi — ot był wtedy bardzo mądry profesor Jaśko z Głogowa, syn mieszczański, był znowu drugi Brudzewski Wojciech z Krakowa rodem, był trzeci Marcin z Olkusza, był czwarty Stach Lwowczyk ze Lwowa, był Wit Stwosz, taki

majster, co złożył cały ołtarz u Panny Maryi w kościele, a wtedy razem z królewiczami uczył się w Krakowie Kopernik, rodem z Krakowa, co to porachował wszystkie gwiazdy na niebie i pierwszy na cały świat nauczał, że i nasza ziemia leci sobie w około słonka, i uczyli wtedy ci profesory w Krakowie takich rzeczy, że aż panowie różni i panie chodziły ich słuchać. Toż nie dziw, że się i królewicze uczyli wszystkiego dokumentnie, a ojcowie ich nie żałowali niczego na naukę.

Sobuś ciekawy podszedł mię i pyta:

— A to ci królewicze siadali razem w szkole w jednej ławce z drugimi szkolarzami?

— A ty jak myślał, mówię mu; toć oni mieli i w domu takie same ławeczki i tam siedzieli po starszyźnie jeden koło drugiego, a każdy z xiążką, piórem i skazówką w ręku, musiał dobrze uważać i umieć wszystko jak pacierz, bo jak zmylił albo nie umiał; to brał karę od kanonika Długosza, a jak się potem spróbował oskarżyć za to przed ojcem swym, królem, to mu ojciec nakiwał dobrze i powiadał ostro:

— Płacz sobie płacz nieboże, to ci nic nie pomoże, uczyć się każdemu trzeba, kto chce jeść dużo chleba, bez nauki są ludzie nieuki, kto się uczy choćby i w biedzie, nauka go do szczęścia zawiedzie. Jak się wypłaczesz, to widać, że się i poprawisz!

I musiał pójść królewicz jak po zmyciu i uczył się i słuchał kanonika Długosza, a do matki Elżbiety nie miał po co z płaczem i skargą chodzić, boby tam był jeszcze lepiej usłyszał.

Toż jak sam ojciec król zaszedł nie raz do szkoły, aby widzieć jak się uczą dzieci, to im gadał:

— Słuchajcie moje dzieci profesorów! my jesteśmy ojcami waszymi i dajemy wam okrycie, jedzenie i dom, a profesorowie są ojcami dla was jeszcze lepszymi, bo oni uczą was Boga znać, chwalić i dobrze robić! Otóż widzicie dzieci! jak to się uczyli sami królewicze i jak ich naganiali rodzice sami do nauki.

A znowu Sobuś zapytał mię:

— To tacy królewicze bogaci i panowie nie wstydzili się siadać razem z szkolarzami i przystawać z nimi?

— A czegoż się mieli wstydzić? mówię mu na to, ludzie nie powinni się wstydzić nigdy jeden drugiego, jeno trza się wstydzić złego! z dobrym przystawaj, od złego uciekaj za góry i lasy! Toż królewicze ci, aby się w niczem nie różnić z szkolarzami, mieli nawet jednaki ubior z nimi. Na zimę i w twardą jesień nosili węgierskie kożuszki jak jeden wraz jednakie, pod kożuszkiem mieli kamizelę aż do kolan i opasani byli paskiem świecącym skórzanym na stalową sprzączkę zatykaczką, koszule mieli z prostego płótna, które im sama królowa matka przycięła a siostry i panny dworskie uszyły, pod szyją świeciła się szpinka jak cwancygier duża, a buty mieli takie, jak noszą dotąd nasi polscy xięża. A na lato zamiast kożuszków to mieli sukmany letnie, jak to dziś noszą chłopi jeszcze w niedzielę. Otóż taki prosty ubior mieli ci królewicze, a ojcowie nie chcieli ubierać ich bogato, bo matka pobożna mówiła:

— Lepszy u Boga człek w cnocie, niźli grzesznik w złocie, kto ma naukę w głowie, a wstyd w myśli i we słowie, i jest życia pobożnego; temu złota nie potrzeba, on i w sukni podróżnego, zajdzie na pewne do nieba!

A znowu mię Sobuś poderwał:

— To może oni tak samo i biednie żyli?

— Biednie jak biednie! bo kiedy już potrzeba było, aby królewicze pokazali się na jakiej paradzie, to ich tak postrojono w złoto i axamity, że aż odpatrzeć się nie było można. Zaś kiedy z obcych krajów przyjechał do Polski jaki pan wielki, a król go zaprosił w gościnę, to już nic mu się tak nie spodobało, jak te dziatki królewskie! To też jak już odjechał taki cudzoziemiec, to istne cuda rozpowiadał w swoim kraju o tych paniętach, co to tak pięknie chowane, takie mądre a takie skromne, krótko mówiąc takie miłe, jak anioły. I nawet ci królewiczów nigdzie inaczej nie nazywano, jeno aniołami.

Jak się królewicze przez rok wyuczyli dobrze, to na lato woził ich kanonik Długosz po całym kraju po lasach, po górach, po wsiach i miastach — byli oni w Sączu, Tyńcu, Lwowie, Wilnie i wszędzie patrzali się na wszystko oczami

własnemi. Otóż widzicie dzieci: że taka matka Elżbieta doczekała się wielkiej pociechy z dzieci. Władysław został do razu królem dla Węgier i Czechów i był zawsze sprawiedliwy, miłosierny i pobożny do końca życia, a matka go lubiła strasznie i napisała nawet xiążkę, jak miał wychować wnuka jej Ludwika, co go później Turki zabili w Węgrzech pod Mochaczem.

Kazimierz został świętym, o którym czytacie teraz, a był on tak miłosiernym i dobrym, że odstąpił nie raz swego łóżka dla chorego, a sam legał na twardej ziemi koło niego, a jedzenie swoje rozdawał het dla ubogich.

Alexander był także bardzo dobrym dla chłopów polskich, zaglądał do ich chałupy, żeby najuboższej, rozmawiał z nimi, wypytywał się i nie raz pił i jadał u ich stołu, a piszą o nim, żeby był rozdał całą polską ziemię ubogim, gdyby był dłużej pożył.

Jan Olbracht i Zygmunt i Fryderyk byli bardzo statecznymi i rozumnymi, a Zygmunt był ojcem i królem dla Polaków, a tak go wszyscy serdecznie miłowali, że się z żalu po śmierci utulić nie mogli — a jak Polska długa i szeroka, to wszystko po nim żałobę nosiło. A córki swoje wydała Elżbieta za królów rozmaitych. Została potem wdową; żyła z mężem do 40 lat, a po jego śmierci ciągle za nim płakała, dawała jałmużnę i odmawiała paciorki. Przeżyła w Polsce do 50 lat i umarła roku 1504 w 65 roku życia.

Otóż św. Kazimierz miał taką matkę, że ją ludzie wspominali i pamiętali aż do czwartego pokolenia, a my Polacy pamiętamy ją i dziś. Kazałem potem to wszystko Sobusiowi i Szymusiowi powiedzieć z pamięci, a dzieci szkoły Szymonowskiej prosiły mię, aby to podać do Dzwonka, aby też i drudzy szkolarze i Polacy wiedzieli o tem raz na zawsze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

DO GRAJKA.

Grajże grajku będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży
I basista nie najgorzej.

Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.
Miły Janek, dobra dusza
Jeno sobie nóżką rusza.

Po chałupie okiem wodzi
A smyczek mu już sam chodzi
Czasem to się tak zaduma
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju
Za nutami, jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa.
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci.
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę,
Zabłąkane nuty chwyta;
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty,
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą
Maciej sąsiad za sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Sunie Wojtek z dużym dzbanem.
Za płotami, jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

W okólniku skaczą żrebre,
Dziecko śmieje się w kolebce,
Kędy spojrzeć radość wszędy;
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.
Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca co się dzieje;
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.

Wszyscy skaczą jak najęci;
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Zmarnowane bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą;
Po lipowym, starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola
Aż się złocą od niej pola,
Suknia na niej jak na pani
Złotem tkana, przerabiana,
Na przyjęcie siostra cnota
Otworzyła stare wrota;
Pokłoniły się jej pługi,
Stary żóraw tak jak długi,
Potem z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami, wieśniakami,
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my ludzie prości?

Teraz grajku, miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku.
Zagrajże nam tego co to...
Co to wiecie.... a z ochotą,
Tak okrutnie, żeby cała
Nasza Polska usłyszała,
Tak już przez moc wszelką siłą!
Żeby raz już dobrze było....

Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nie uchowa.
Od Krakowa do Górali,
Od Górali jeszcze dalej....

Grajże grajku, bo daremno,
A ty Baśko kręć się ze mną;
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze;
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci.

Zagrajże mi grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzynkę grosze.
Więc i dziewczę, szczere licho,
Podspiewuje jeszcze cicho:
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi.
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut zfurnął z grzędy,
I na spiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

Teofil Lenartowicz.

Bartek hajduk
i jego przygody między Turkami.

Opowiedział Wojtek ze Śmolnicy.

(Dokończenie.)

Aż odsapnął Bartek, gdy wyszedł na świeże powietrze a w głowę zachodził okrutnie, co to wszystko ma znaczyć. Wyglądał już teraz jak panicz jaki, bo go to i ogolili i umyli i uczesali i przebrali, że aż miło.

Idzie Bartek gdzie go wiodą Turcy a już i pojąć nie może po co oni z nim takie komedye wyprawiają — gdy naraz go stawią przed owym jenerałem czyli b a s z ą tureckim.

Basza spojrzał na niego dzikiem okiem i zawołał:

— Otóż mam cię ptaszku!

Bartek nie rozumiał tych słów tureckich ale upadł na kolana przed baszą i mówi:

— Jaśnie Wielmożny Panie! Ja nic nie winny, ja się nie bił z twojem wojskiem, jenom stał przy wozach i patrzyłem!..... Ja jestem sobie biedny chudzina, prosty hajduk!...

Przetłumaczyli te słowa na tureckie baszy, a ten gdy to usłyszy, porwie się z siedzenia i woła:

— Nie kłam daremnie psie chrześciański!.... Ho, ho! nie oszukasz mnie bratku! Udajesz hajduka a ty tymczasem jesteś polskim jenerałem, czyli b e j e m!...

Bartek przysięga, klnie się na czem świat stoi, że on nigdy ani panem, ani jenerałem, ani bejem nie był, jeno prostym chłopem i hajdukiem u pana Łaskiego — ale Turcy ani rusz nie chcą temu uwierzyć, bo Bartek taki był chłop duży

i sążnisty, i tak czupurnie i okazale wyglądał, że byliby przysięgli, że to jaki wielki pan polski.

Zaś tem bardziej nie chcieli uwierzyć Turcy, aby Bartek był sobie ladajakim chudopachołkiem, że trafiało się bardzo często, jako wielcy i bogaci panowie polscy, jeżeli się dostali do niewoli, to udawali ubożuchnych prostaczków. A to nie dla czego innego, tylko dla tego, żeby Turcy od nich dużo pieniędzy nie żądali, jeno za jaki taki grosz znowu na wolność puścili.

Otóż i tym razem basza turecki myślał, że Bartek to jakiś wielki pan i wojownik polski, tylko się zadał za hajduka, aby wielkiej sumy wykupnej nie potrzebował płacić. To też choć Bartek przysięgał i klął co siły, nie uwierzyli mu poganie, ale umywszy go i przebrawszy, jakom wam już opowiedział, zaprowadzili go jako schwytanego jenerała polskiego aż do samej stolicy tureckiej, gdzie mieszka ich cesarz czyli sułtan, do wielkiego miasta Stambułu.

Gdy już basza turecki miał wjeżdżać do Stambułu, to aby się pochwalić przed innymi poganami, co to on za zuch, i ile on to nałapał Chrześcian, prowadził wszystkich niewolników za sobą, a zaś Bartka ogolonego i wystrojonego na samym przedzie, rozpowiadając wszystkim, że to sam jenerał polski!...

Poganie patrzali na hajduka Bartka, że mało im ślipie z głowy nie wylazły a dziwili się okrutnie, że jenerał polski taki chłop wielki i duży. Zaś potem zaprowadzili Bartka przed samego cesarza tureckiego i powiedzieli temu, że to wielki pan polski, co udaje hajduka, aby go za jakie takie grosiwo wypuszczono na wolność.

Bartek i przed cesarzem tureckim przysięgał, że jako żyw nigdy nie był ani panem ani jenerałem, ale nic mu to nie pomogło.

— Nie oszukasz ty mnie — mówił sułtan turecki — jeno muszą za ciebie Polacy kupę złota zapłacić, abym cię puścił, boś ty nie kto inny, jeno sam jenerał polski!...

— Kiedy tak koniecznie chcecie — pomyślał sobie Bartek — to niech będzie i na waszem, tać mnie to nie szkodzi, żeście tacy głupi!

Co prawda, nie zaszkodziło to Bartkowi nic, jeno mu pomogło, bo kiedy innych niewolników dręczyli Turcy jak bydło, to zaś jego w wielkiem mieli poszanowaniu i obchodzili się z nim jak z jajem.

Nie dali go jak innych do ciemnych lochów albo na okręta, ale osadzili do takiej wieży, co tylko dla wielkich panów na areszt była przyrządzona. W tej wieży, co stała w miejscu zwanem Jedykuł, siedział sobie Bartek wygodnie a brał jeszcze do tego wszystkiego od Turków 10 groszy na dzień na rozmaite drobne wydatki.

Turcy ciągle szanowali Bartka bardzo i oddawali mu honory, bo jeszcze zawsze wierzyli, że to jakiś jenerał polski a nie prosty hajduk pana Łaskiego. I tak żył sobie Bartek między Turkami i dziwował się nad ich głupotą a czekał, co da Bóg dalej.

Ale choć mu tam nie źle było w tej wieży, bo to chłopisko nic nie robił, jeno do góry brzuchem leżał, toć przecież markotno mu było za Polską i gdyby był mógł, to byłby uciekał do swoich, żeby aż paznogcie skrzypiały.

Tak trwało czas jakiś, aż naraz zdarzyło się, że zaszła znowu bitwa okrutna między Turkami a Polakami. Było to pod Cecorą w roku pańskim 1620. Stanisław Żółkiewski, sławny hetman polski, o którym już nieraz pisano wam w Dzwonku, wyruszył z polskiem wojskiem nad Dniestr, aby nie puścić Turków i Tatarów, co okrutną ćmą zwalić się chcieli na Polskę.

Ale pogan była czerń niezmierna a naszych garść nie wielka, więc też polscy wojacy, choć się bronili jak lwy, nie mogli podołać bisurmańdstwu. Hetman Stanisław Żółkiewski chciał się tedy cofnąć nazad do Polski z swem wojskiem i choć mu już drogę niezmierne kupy Tatarstwa zaskoczyły, to przecież przebijał się coraz bliżej do polskiej ziemi. Tak przez sześć dni szablami otwierali sobie Polacy drogę do domu — ale w końcu otoczyła ich zewsząd taka okrutna liczba pogan, że czapkami zasypać by ich była mogła i w tedy już nie było rady.

Mnóstwo tam polskiej krwi się przelało a dzień ten pod Cecorą był to straszny dzień dla całego chrześcijaństwa, a

osobliwie dla Polski, co była zawsze pierwszą między chrześcijaństwem całem. Sam wielki hetman Stanisław Żółkiewski poległ w tej bitwie od szabli tureckiej a z nim bardzo wiele innych Polaków.

Zaś jeszcze więcej zabrali Turcy do niewoli. Między tymi co ich z sobą porwali poganie, był także i hetman Stanisław Koniecpolski.

Otóż tego Stanisława Koniecpolskiego zaprowadzili Turcy także do tej wieży, dla panów przeznaczonej, co jakem wam powiedział, była w Jedykule. Zaś wiecie już, że w tej wieży siedział także Bartek hajduk, co go Turcy mieli za jenerała polskiego.

Jak się Bartek dowiedział, że Turcy znowu nasprowadzali jeńców polskich, tak już i wytrzymać nie mógł, jeno chciał koniecznie widzieć się z swymi rodakami i wypytać się ich o wszystkiem, co tam w Polsce się stało. Prosi więc Turków, aby go zaprowadzili do jakiego Polaka, bo okrutnie pragnie, rozmówić się z nim o Polsce.

Turcy mu na to:

— Dobrze, chodź! Jest tu jeden taki jenerał polski, jak ty, to cię do niego zaprowadzimy!

I zaprowadzili Bartka do hetmana Koniecpolskiego. Bartek znał dawniej jeszcze jako hajduk tego pana, więc jak go obaczył, to zaraz mu się rzucił plackiem do nóg i począł płakać jak dziecko.

Turcy się zdziwili okrutnie, i nie mogli się domiarkować, dla czego Bartek swemu równemu pada do nóg, bo ani rusz z głowy im wyleźć nie chciało, że Bartek nie jest jenerałem.

Pytają się tedy pana Koniecpolskiego.

— Jakto? Toć przecież ten człowiek taki jenerał, jak ty, czemuż on tobie się kłania jak sługa?

— Co jenerał?! — zawołał pan Koniecpolski i począł się śmiać bardzo.

— Ano widzi Jaśnie Oświecony pan hetman — mówi mu na to Bartek — ci pogańscy głupcy nie chcą ani rusz wierzyć że ja hajduk prosty!

Dopiero hetman Koniecpolski w śmiech serdeczny i począł tłumaczyć Turkom, że Bartek to prosty hajduk z Łaska, a

nie żaden jenerał, bo go widział nieraz przy dworze pana Hieronima Łaskiego. Turcy zrazu nie chcieli dać wiary, aż kiedy im hetman dokumentnie wyłożył wszystko, wtedy się aż poskrobali w głowę, że byli tacy głupi.

Chcieli zaraz Bartka wziąć do roboty ciężkiej jak innych ale go pan hetman wyprosił. Odtąd Bartek posługiwał hetmanowi w więzieniu, a gdy pana Koniecpolskiego wykupili z niewoli, to wziął z sobą i Bartka do domu.

I tak Bartek, co go poganie zrobili polskim jenerałem, wrócił znowu jako hajduk do domu. A w Polsce to jeszcze dużo było śmiechu z jego jeneralstwa. Pan hetman Koniecpolski wziął go do siebie na służbę i zrobił go wrotnym.

Bartek długo był jeszcze wrotnym na dworze pana hetmana Koniecpolskiego. Rozpowiadał ludziom cuda o swej niewoli u Turków, a kiedy sobie trochę podpił, to mówił z płaczem:

— Oj! pocóż mnie pan hetman wybawił z niewoli, tać tam mnie poganiska trzymali za jenerała i dobrze mi było, bo człek i pieniądze brał i cały boży dzień jeno leżał i próżnował! A tu co za bieda, być wrotnym!

Wtedy się śmieli ludzie z narzekania Bartka, a on sam kiedy się wytrzeźwił, to mówił, że woli nędznie żyć na polskiej ziemi, niż opływać jak bałabuch w maśle między poganami! Boć lepszy na ojczystej ziemi suchy kęs chleba, niż przysmaki w obczyźnie!

Otóż takie to były dziwne przytrafunki Bartka hajduka między Turkami.

Pogadanka o deszczu.

Było to właśnie w niedzielę świętą po nieszporach. Na niebie wisiały ciemne chmury i nie puszczały na wierzch słonka, aby się choć ludziom przypatrzyło — a deszcz lał sobie jak z konewki, jak to się u nas tego lata bez ustanku dzieje.

Markotno było bardzo w chacie Maciejowi Suszce, dumał sobie długo, co to za koniec będzie z tym deszczem — a nareszcie zawołał na Wojtusia swego syna i wziął go z sobą do starego kowala Józefa, co był człek piśmienny i taki rozumny, że aż miło pogwarzyć z nim było.

U Józefa było już kilku gospodarzy i parobków, co siedzieli na ławie i słuchali, jak im coś rozpowiadał stary kowal.

— Niech będzie pochwalony! — przywitał się Maciej Suszka wchodząc do izby.

— Na wieki wieków! Siadajcie kumie! — odpowie kowal — a co tam słychać u was?

— A cóżby? — odpowiedział siadając Maciej — to co wszędzie. Człek sobie głowę kłopoce wedle deszczu, co leje a leje jak z studni.

— A mnie to przychodzi zawsze na myśl, kiedy deszcz pada, zkąd się też on bierze? — ozwał się Marcin Zapiętka, sąsiad kowala. Słyszał ci ja wprawdzie już o tem, ale dokumentnie to nie wiem, jak się ten deszcz fabrykuje tam w obłokach?

— A jużci, że z chmur! — wyrwał się Wojtuś.

— Ba a chmury zkąd? — zapytał znowu Marcin.

Wojtuś się zczerwienił jak burak, bo nie umiał tego na rozum wyłożyć i dalej ani gęby nie roztworzył.

Na to stary kowal:

— Czytałci ja o tem po xiążkach, a jeżli wam nie będzie nudno, to bym wam i opowiedział.

— Oj opowiedźcie, opowiedźcie Józefie! — zawołali wszyscy, a Józef w niedługo począł tak mówić:

— Mówiłeś Wojtusiu, że deszcz nizkąd inąd nie pochodzi jeno z chmur. Ale wpierwej trzeba wiedzieć co to jest chmura. Widzieliście przecie nieraz mgłę. Otóż mgła a chmury to wszystko jedno — bo i mgła i chmury to nic innego jeno para, co przez zimno tak zgęstnieje, że się pościna w malusieńkie kropelki wody, że je widzieć można oczyma. Między mgłą a chmurami jest tylko ta jedna różnica, że mgła jestto zgęszczona para w powietrzu blisko ziemi będącem, chmury zaś są podobnie zagęszczoną parą, ale w wielkiej nad ziemią wysokości. Gdybyście się więc znaleźli pomiędzy chmurami, to wasze włosy, suknie i t. p. takby zwilgotniały, jak to bywa zazwyczaj kiedy nas gęsta mgła otacza. Że to tak jest w istocie, przekonali się o tem ci, którzy byli na wysokich górach, a szukać ich daleko nie potrzebujemy, bo i w naszych górach polskich najwyższe wierzchołki chowają się w chmurach. Temu kto tam jest na górze, taka chmura wydaje się tylko gęstą mgłą; kto zaś patrzy na nią z dołu, ten taką mgłę uznaje za chmurę. Otóż tedy jedno i to samo temu kto patrzy z bliska wydaje się mgłą, temu zaś nad kim jest wysoko zdaje się być chmurą.

Już więc wiecie, że chmura nie jest co innego, tylko

mgła wisząca wysoko w powietrzu. Jakże to jednak być może, że ta chmura, która składa się z samych małych kropelek wody, może się utrzymywać w powietrzu? Przecież każda kropelka cięższa jest od powietrza, więc też tak na dół opadać powinna jak np. opada kamyk rzucony na wodę. Naprzód tedy potrzeba wam wiedzieć, że kropelki te nie są pełne, ale dęte z powietrzem we środku, ot np. takie jak bańki mydlanę. Gdyby te krople były całkiem pełne, to oczywiście spadaćby musiały, bo trzeba wam wiedzieć, że w takim razie byłyby blisko 800 razy cięższe od powietrza. Że zaś są dęte, więc też o tyle stają się lżejszemi, o ile we środku zawierają powietrze, dlatego też nie cisną tak mocno na powietrze, które się pod niemi znajduje, i jeżeli się zniżają, to zawsze tak zwolna, jak np. powoli spada bańka mydlana, którą ze słomki puszczamy w powietrze. Wszakże bądź co bądź, powiecie sobie zapewne, gdy powietrze jest spokojne, to owe bańki pary, tak jak i bańki mydlane, choćby też i najwolniej, zawsze wszelako spadaćby powinny, a następnie i cała chmura z takich kropelek utworzona osiąśćby musiała na ziemi. Otóż to jeszcze wytłumaczyć wam należy.

Bańki pary, które przy powietrzu spokojnem w istocie powoli na dół się spuszczają, trafiają tamże na powietrze cieplejsze, i w którem nie ma jeszcze tyle pary jak tam gdzie się chmury zrobiły, na nowo więc rozchodzą się w powietrzu, zamieniają się w niewidzialną parę i znikają nam z oczu. Co gdy się dzieje poniżej, tam w górze tworzą się tymczasem nowe bańki pary, z któremi robi się to samo co z pierwszemi. Tak więc w istocie chmura ciągle się odnawia, a nam z daleka zdaje się jakoby jednostajnie zawieszona była w powietrzu.

Gdy się powietrze porusza, kropelki pary muszą się posuwać w kierunku wiatru; jeśli wiatr taki ciągnie równolegle do ziemi, to też i chmury unosi z sobą poziomo, jeśli zaś ciągnie ku górze, to i kropelki pary pędzi także do góry, tak jak to wiemy o bańkach mydlanych, ktore uniesione wiatrem nieraz wzbijają się po nad domy, lub w izbach nawet unoszą się wysoko, jeżeli pod nie podbiegamy i poddmuchujemy. Przez takieto ciągi powietrza od dołu ku górze, dzieje się, że mgła idzie do góry, czyli co jedno, że z mgły robi się chmura.

Chmury według tego jak wiszą wyżej lub niżej, jak są gęstsze lub rzadsze, tudzież jak są oświetlone od słońca, wyglądają bardzo rozmaicie. Jedne które przy pogodnem niebie naprzód się pokazują, delikatne, smugowate, zwane pierzastemi; drugie jak kłęby dymu, w wielkich, półkolistych, częstokroć

bardzo pięknych gromadach, zwane gromadnemi; inne które dają się widzieć przy zachodzie słońca w przepysznych kolorach, zwane warstwowemi; inne wreszcie powstają z gromadnych a niekiedy całe niebo szaro powlekają i zwane są deszczowemi, jak dziś naprzykład.

— A jakżeż z tych chmur robi się deszcz? — zapytał kowala jeden z parobków.

— Otóż posłuchajcie — odpowiedział kowal — nieużo by o tem mówić, jeno się namyślić dobrze trzeba:

Jak wam już powiedziałem, obłoki, co się nizkąd inąd biorą jeno z pary, która wychodzi z wody i ziemi, unoszą się wysoko i tam wiszą. Im taki obłok zimniejszy, tem jest gęstszy i łatwiej z niego deszcz może upaść. Otóż wystawcie sobie, że jeden taki obłok wisi w powietrzu. Naraz nadnosi wiatr obłok drugi, co jest znowu cieplejszy. Cóż się zrobi?

— To się pomieszają z sobą! — zawołał Wojtuś.

— Ba to jeszcze nie koniec — odpowiedział stary kowal — ale co potem będzie? Oto już nieraz uważaliście, że jak w zimie przynieść ze dworu do ciepłej izby na przykład siekierę, to siekiera ta zaraz się pokryje kropelkami wody, jak rosą. A dla czego? Bo ciepłe powietrze, co jest w izbie, jak się zbliży do zimnego żelaza, tak zaraz od niego nabiera zimna i robi się coraz gęstszem, aż nareszcie osiada kropelkami na siekierze. Otóż akuratnie tak dzieje się z obłokami. Jak cieplejsza chmura zejdzie się z zimniejszą, to cieplejsza poczyna gęstnieć coraz bardziej i zmienia się w maleńkie bańki wody. Te bańki robią się coraz cięższe, bo gdzie jeno się posuną a natrafią na cieplejsze powietrze, to z niego coraz bardziej wody wciągają. Nareszcie kropelki te takie się zrobią ciężkie, że już nie mogą się utrzymać na górze, jeno spadają na dół. Zaś lecąc na dół, to znowu lecą przez cieplejsze powietrze i zabierają z niego w siebie coraz więcej wody, a gdy już spadną na ziemię, to są wielkiemi kroplami wody. Tak to się moiściewy robi deszcz. Trudno to wam całkiem wyraźnie wyłożyć, ale kto dobrze nad tem pomyśli, to mu się powoli stanie wszystko zrozumiałem. A zresztą lepiej to choć po trosze wiedzieć o tem, co się dzieje w oczach człowieka, niż tak nic a nic jak tabaka w rogu.

Tymczasem przestał padać deszcz na dworze a słonko zaglądnęło do chaty Józefowej. Zabrał się tedy Maciej z Wojtusiem do wyjścia, a podziękowawszy kowalowi za pouczenie, poszedł do domu

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.